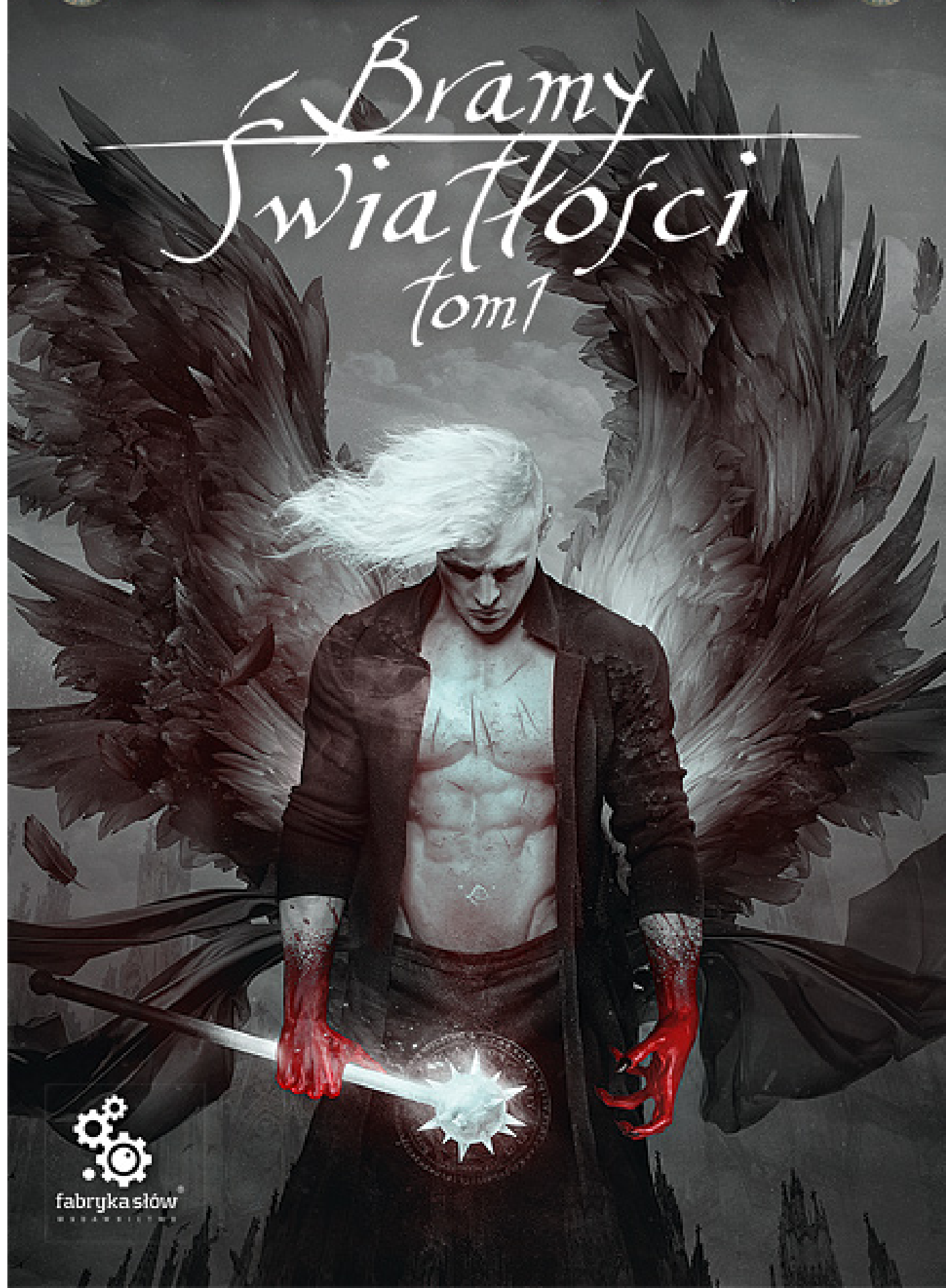


Maja Lidia Kossakowska

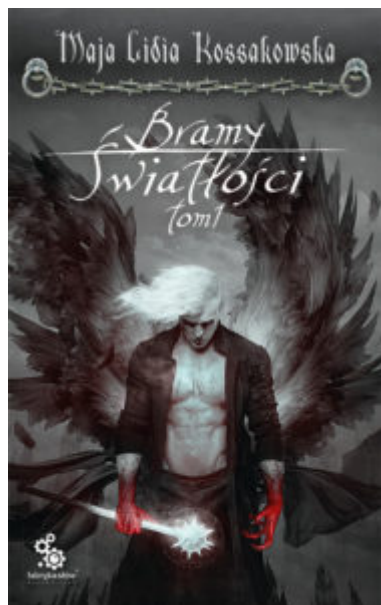
Bramy
Świątkości
tom 1



fabryka słów
WYDAWNICTWO

Aniołowie na bezdrożach

nimfa bagienna



Co jest siłą, a co słabością twórczości Mai Lidii Kossakowskiej? Agnieszka Chodkowska-Gyurics dzieli się wrażeniami po lekturze pierwszego tomu „Bram światłości”.

Wiem, że kobietom wieku się nie wypomina. Kobieta ma tyle lat, na ile wygląda. Nie da się jednak ukryć, że nie od dziś Maja Lidia Kossakowska swą twórczością dostarcza czytelnikom wielu niezapomnianych przeżyć. O ile Wikipedia nie kłamie (a nie mam powodów, by w tej kwestii jej nie wierzyć), w tym roku w styczniu minęło 20 lat od debiutu autorki na łamach niezapomnianego „Feniksa”. Aż się łza w oku kręci.

Nie ma w tym nic dziwnego, wszak Kossakowska pisze dobrze, a dobre teksty wybronią się zawsze, bez względu na mody, trendy i kryzysy rynku literackiego. Zaskakuje co innego, to mianowicie, że po tylu latach nadal trafia do serc i gustów młodych miłośników fantastyki. Zazwyczaj (poza typową „młodzieżówką”, a nie o takiej literaturze tutaj mowa) czytelnicy starzeją się wraz ze swym ulubionym twórcą. Jak autorka to robi, że – nie tracąc starych fanów – pozyskuje wciąż nowych, tych z młodego pokolenia? Myślę, że po przeczytaniu „Bram światłości” znalazłam odpowiedź na to pytanie. Sekret Kossakowskiej jest młody duch. Udało jej się zachować to, co jest istotą młodości, czyli ogromną wrażliwość i emocjonalność, ocierającą się wręcz czasami o młodzieńczą afektację. W twórczości tej pisarki nie ma nic z charakterystycznego dla osób dojrzałych spokoju, akceptacji czy pogodzenia się z losem.

Takie właśnie są postaci „Bram światłości”. Pełne emocji, które skłonniśmy przypisywać młodym: miłości, nienawiści, tęsknoty, gniewu, buntu. Przedwieczne istoty stworzone przez Jasność, zanim jeszcze powstała Ziemia, nie mają w sobie nic ze spokojnych staruszków. Choć lata wywarły na nich swoje piętno, to nadal kochają i nienawidzą całym jestestwem. Może tylko z wiekiem stają się coraz bardziej rozgoryczone i zgorzkniałe.

„Bramy światłości” to powrót autorki do cyklu anielskiego. Powroty, jak wiadomo, bywają ryzykowne. Bardzo łatwo wpaść w pułapkę odcinania kuponów, powtórzeń i wtórności. Kossakowska dość zgrabnie wybrnęła z sytuacji, przedstawiająca czytelnikowi niby to samo uniwersum, a jednak zupełnie odmienne. Tym razem wysłała bohaterów do tajemniczych Stref Poza Czasem. Nowe miejsca to wspaniałe pole do popisu dla pisarki, której zdolność kreowania światów połączona z

dogłębną znajomością mitów narodowych jest wręcz niesamowita. Tym razem za kanwę posłużyła mitologia hinduska, doprawiona szczyptą wierzeń innych ludów. Jak to u Kossakowskiej bywa, stare wierzenia nie zostały podane wprost, lecz zostały smakowicie przetworzone. Stąd i duży rozrzut lokacji – od mrocznego Lasu Noży po landrynkowy „kalafiorowy pałac” (ten ostatni concept urzekł mnie totalnie). Całość przesiąknięta jest specyficznym dla twórczości Kossakowskiej magiczno-mrocznym nastrojem.

Nie na darmo przed chwilą użyłam znanego z gier komputerowych terminu „lokacja”, bo konstrukcja fabuły przypomina nieco quest. Bohaterowie mają do wykonania zadanie (konkretnie odnalezienie Stwórcy, który opuścił Królestwo). By osiągnąć cel, przemierzają coraz bardziej niesamowite krainy, co i rusz wpadając przy tym w tarapaty. Gdyż już jako tako wykaraskają się z kłopotów, natychmiast wpadają w kolejne. Akcja toczy się wartko, a gdyby tego było mało, gdzieś tam, w tle – w Królestwie i w Głębi – trwają niekończące się intrygi polityczne.

Czyżby książka nie miała wad? No, nie byłabym sobą, gdybym się jednak do czegoś nie przyczepiła. Zabrzmi to może dziwnie, ale nieszczególnie przypadły mi do gustu początek i koniec, gdyż skażone zostały typowymi wadami ciągutkowego cyklu.

Od wydania poprzedniego tomu cyklu anielskiego (chodzi mi, oczywiście, o „Zbieracza burz”) upłynęło około siedmiu lat. Można więc podejrzewać, że czytelnicy to i owo zapomnieli. Niektórzy zapomnieli pewnie wszystko. Autorka jest tego świadoma i dlatego przez początkowe kilkadziesiąt stron co i rusz przypomina nam wydarzenia z przeszłości. Muszę przyznać, że choć rozumiem, po co ten zabieg, to nieco mnie te powtórzenia zeźliły, bo z lekka wiały nudą. A może sama jestem sobie winna, bo kilka dni temu przypomniałam sobie cały cykl anielski i wszystko doskonale pamiętałam?

A koniec? No cóż. Jako osoba starej daty przyzwyczajona jestem, że wraz z końcem tomu kończy się też jakaś historia. Owszem, zakończenie może być otwarte, może je zwieńczyć jakiś cliffhanger (konia z rzędem temu, kto podpowie mi jakiś zgrabny polski odpowiednik tego potworka), jednakże coś powinno się skończyć. Tymczasem tutaj mam wrażenie, że autorka (bądź wydawca) przecięli siekierą książkę, nie bacząc na treść, a jedynie uderzając ostrzem gdzieś pośrodku, by można było sprzedać dwie książki zamiast jednej.

Ponarzekałam, ponarzekałam, a teraz nie pozostaje mi nic innego, jak niecierpliwie oczekiwać na tom drugi. Pewnie nie będę jedyną osobą, która czeka.

Agnieszka Chodkowska-Gyurics

Tytuł: „Bramy światłości” t. 1

Autor: Maja Lidia Kossakowska

Wydawca: Fabryka Słów 2017

Stron: 512

Cena: 39,90 zł (okładka miękka), 49,90 zł (okładka twarda)